

Bogumił

Kłodkowski

jako

don Gioachino

Castiello

w „Syrenie”

rys. J. Zebrowski



CZWARTEK, 13.6
TEATRY

TEATR SYRENA

CO GDZIEKIEDY?

Bogumił

Kłodkowski

jako

don Gioachino

Castiello

w „Syrenie”

rys. J. Zebrowski



CZWARTEK, 13.6
TEATRY

Godz. 19.00, POLSKI, Kram z klasztoru

TEATR SYRENA

1955-57

CO GDZIEKIEDY?

Bogumił

Kłodkowski

jako

don Gioachino

Castiello

w „Syrenie”

rys. J. Zebrowski



W pogoni za straconym czasem

Program składany: „Kłopoty z popiersiami”. Reżyseria Barbary Kilkowskiej, dekoracje Mariana Edego i Janiny Ipohorskiej, kostiumy Zofii Wierchowicz, kierownictwo muzyczne Adama Markiewiczza. Premiera w Teatrze Satyryków „Syrena”.

Premiera prasowa „Kłopotów z popiersiami” wypadła jednego z tych dni, które każdy Polak przeżywał sercem i umysłem, gorąco, gorączkowo. Trwały wiece, krzyżowały się informacje. Jakże w takich godzinach słuchać teatralnej fikcji — wahałem się czy pójść.

Lecz poszedłem. Zapowiadano program satyryczny, składany. Tytuł sugerował zgodność z pulsem dni. Jakież rodzaj sztuki jak nie satyra polityczna, zwielokrotniona w oddziaływaniu przez teatr, może lepiej współgrać z nerwowym rytmem miasta?

Nie żałowałem trzech godzin, spędzonych w Syrenie, pomiędzy Politechniką a redakcją. Od pierwszych chwil program wciągnął widzów — i mnie wśród nich — w tok widowiska, dawaliśmy temu wyraz głośnym śmiechem, zjawiskiem ostatnio niezbyt częstym na widowni Syreny. Program dowcipny, wesoly, chwycił. Syrena znowu się poprawiła — oceniało zewsząd.

I oto paradoks: pozytywna opinia o „Kłopotach z popiersiami” wydaje mi się trafna — mimo, że wcale nie przekreśla faktu, iż poszczególne części programu są w znacznej części spóźnione, marginesowe, wlokące się w ognie wydarzeń i nastrojów.

Spróbujmy wytłumaczyć tę pozorną sprzeczność.

Syrena jest teatrem gwiazd rewiowych. Nie tylko te nazwiska, które wam pierwsze na myśl przychodzi — Kwiatkowska i Dymśka — reprezentują najwyższą klasę aktorstwa rewiowego. Gdzie się nie obejrzyś, tam w Syrenie gwiazda, ulubienicy publiczności. Zaraz od pierwszych chwil chwytą cię humor i temperament Bielińskiej, oklaskujesz jej dowcipną, świetnie podaną konferansjerkę. Słuchasz dalej, a tu ci Olsza znakomicie monologuje, ani się obejrzyś a wyskakuja z ogródka Syreny, ruchliwy Brusikiewicz, dobroduszny Darski, nigdy nie znużona Stefcia Górka, a jeśli nowy nabytek to zaraz dobry aktor Surowa. A mógłbyś twierdzić, że Halmirska, Jamry czy Mikulowski nijako, nudno, reprezentują aktorstwo Syreny? — nie mógłbyś.

Na domiar dobrego — gdy tylko Kazimierz Krukowski wrócił do kraju, gdzie miał wystąpić jeśli nie w teatrze, prowadzonym przez swego starego przyjaciela Jurandota? I Krukowski mówi kilka rzewnych zdań przywitania „Po 17 latach”, a potem przypomina jeden ze swoich niezapomnianych przedwojennych monologów i wiesz lekko, swobodną konferansjerkę, jak on to potrafi.

Pracę aktorów ujmuje reżyseria pomysłowo, celnie akcentując puenty. Przykładem sceniczne podkreślenie treści satyrycznych „Opowieści o jednym” Jurandota czy „Kłopotów z popiersiami” Marianowicza. Nie koniec na tym: całe widowisko zawarte jest w dekoracjach znakomicie dostosowanych do nowoczesnego stylu składanek satyrycznych i stylów w Polsce w pewien sposób kształtujących. Nawet strona muzyczna; choć tym razem słabiej reprezentowana (brak piosenek) może się wykazać nową zreczną kompozycją W. Żulawskiego.

A teksty, podawane przez aktorów? Czyż nie zmagistrowali ich wyborni specje, czyż można

im oś. zarzucić pod względem formalnym? Czyż nie wzbudzą „pozytywnego” śmiechu? Poczynając od wstępnej „Deodizacji” Grodzieńskiej — smaczno, od razu trafiającego do widza pastiche'u „strep tease'u” (wybaczcie to zestawienie obcych słów, ot, moda z Zachodu, a u nich to zawsze po francusku zaraz albo po angielsku) — a kończąc na „Kłopotach z popiersiami”, wierszowanej satyrze nie tyle na „kult jednostki”, co na pasożytów tego kultu — większość tekstów przedstawienia jest pomysłowa, cięta; jak się to mówi: na dobrym poziomie. I starzy przyjaciele Syreny nie zawiedli — Żalucki, Żywulska, Gozdawa ze Stępnem — i nowi dali teksty zreczne: Mrozek, Oseka...

W sumie: sukces, śmiech, o-kłaski.

Ale recenzent ma obowiązek zajrzenia pod podszewkę, ma obowiązek powiedzieć, że najdowcipniejsza nawet satyra na orkiestry jazzowe nie może zastąpić satyry na różne orkiestry polityczne, że wspomnienia wspomnieniami ale nas bardziej obchodzi teraźniejszość i walka o przyszłość niż rym-cym-cymy. Owszem, ostry ton parodii i sprowadzenia złego zjawiska do absurdu wnosi cięta groteska „Kolega Gluś” Mrozka; owszem, celnie mierzy i trafia „Kwadran dla partyjnych” Oseki i celnie mierzy (choć nie trafia) „Ostatni lot” Marianowicza i Minkiewiczza. Ale pierożki są nieco odgrzewane, a awans nie jest żadnym awansem. Uczucie niedosytu, jeśli nie głodu — przytłumione świetną zastawą, ślicznym obrusem, kwiatami — po chwili daje o sobie znać ze wzmoczoną siłą.

Lecz bądźmy sprawiedliwi. Czy Syrenę można tu winić? Jednym z podstawowych warunków silnego, właściwego oddziaływania satyry społeczno-politycznej jest, szybkość jej reagowania na zjawiska, zachodzące w realnym, aktualnym życiu kraju. Syrena grzeszyła czasem nieusprawiedliwioną opieszałością i tożmy jej, recenzenci, zgodnie wytykali i będziemy nadal wytykać, jeśli z wady opieszałości zechce zrobić system. Ale są sytuacje, bywają chwile, w których najzwyczajniej satyra nie może nadążyć za biegiem wypadków. Wszyscy wiemy, że Syrena w tym „nie winna”: iż przejrzyste aluzje na temat pewnego antyinteligentckiego generała — tak jeszcze niedawno mogące się wydawać ostre i zuchwale — trąca nieomal myśką, iż „Szkola dyrektorów” opustoszała, skoro zdrzały dyrektorskie posady, gdy w gruzach leż z nich legło. Doprawdy, w naszych czasach nieraz difficile est satiram scribere.

A może jeszcze za wcześnie tak pisać?

JASZCZ